

Kirył Bułyczow

Skarbonka

Normy moralne są różne w różnych zakątkach galaktyki, a świat tęczowych pokus, jakie roztacza przed człowiekiem nauka, bardzo pociągający. Spróbujcie postawić się na miejscu stworzenia, według nas całkowicie niemoralnego: jak by się człowiek prowadził na jego zupełnie niemoralnym miejscu? Oceńmy na przykład postępek Miszy Standala: dla mieszkańca Wielkiego Guslaru jest on całkowicie zrozumiały, ale czy potrafiliby go zaaprobować obywatele z jakiejś odległej planety? Może w nich Misza Standal wyzwoliłby uczucia nie mające nic wspólnego z przyjęciem do aprobującej wiadomości? Mogłyby z tego wynikać kłopoty na kosmiczną skalę...

Misza Standal siedział na skwerku przy centralnym placu miasta i czekał na autobus do Wołody, którym miała przyjechać Szuroczka Rodionowa. Autobus się spóźniał i różę, nabyte u ciotki Ariadny, zdążyły już zwiędnąć. Był upał. Godzina trzecia po południu.

Kiedy przybysz z kosmosu przechodził obok ławeczki, Standal nie od razu zorientował się, że to właśnie przybysz z kosmosu, tak świetnie był przebrany za człowieka.

Ale Misza zobaczył skarbonkę.

Przybysz tulił ją lewą ręką do boku tak, jak pchacz niesie kulę, wchodząc w starannie na ogół wyrysowane białe kółeczko. Skarbonka była pomalowana na zielono i żółto i z daleka mogła wyglądać jak duże jabłko.

– Pozwoli pan? – zwrócił się przybysz do Standala.

– Bardzo proszę!

Przybysz usiadł obok Standala, położył skarbonkę na kolanach i przykrył ją dłońmi. Milczał przez chwilę patrząc na dzwonnice i latającego nad nią kruka. Potem spojrzął na Standala i powiedział:

– Autobus się spóźni. Będzie za godzinę.

Natura wyraźnie pozbawiła go umiejętności korzystania z tonu pytającego.

– Skąd pan wie? – zapytał Standal.

– Wiem.

Teraz już Standal nie miał cienia wątpliwości, że ma do czynienia z przybyszem z kosmosu.

– Z daleka pan do nas przyleciał?

Mieszkańcy sąsiednich miast nie mogli się nadziwić stoickiemu spokojowi, z jakim mieszkańcy Wielkiego Guslaru przyjmowali przybyszy z kosmosu. A przecież nie ma się czemu dziwić – siła przyzwyczajenia...

– Nazwa mojej planety niczego panu nie powie.

Standal kiwnął głową. Zgadzał się całkowicie z przybyszem.

– Byłem na kursie. A teraz tracimy tutaj czas.

– Przecież nie możemy przyspieszyć autobusu!

– Ale możemy przyspieszyć czas!

Standal uprzejmie powstrzymał się od uśmiechu.

Przybysz świdrował go wzrokiem. Miał ciemne, smutne i jakieś takie namolne spojrzenie.

– Ludzie – powiedział tonem pełnym potępienia – to wrogowie czasu. Wyrzucacie go, zabijacie, niszczyacie i tratujecie.

– Nie będę się z panem spierał – odparł grzecznie Standal, spoglądając w prawo, skąd powinien nadjechać autobus.

– Już od godziny nic pan nie robi, tylko siedzi i czeka na autobus, który w tej chwili zmienia nawaloną kichę gdzieś tak w odległości czterdziestu kilometrów od pańskiego miasta. Wezmę od pana zbędny czas.

– I co się stanie?

– Autobus przyjedzie. Spotka pan swoją dziewczynę. A ja schowam sobie godzinę do tego akumulatora.

Przybysz podniósł dłonie, żeby Standal mógł lepiej przyjrzeć się skarbonce.

– Niklowo-kadmowy? – zapytał Misza, wykazując w ten sposób niejaką znajomość literatury popularnonaukowej.

– Nie, szklano-cynowy – poważnie odpowiedział przybysz. – Ale z podwójnym separatorem drewnianym. Unikalna rzecz.

– Rozumiem – odpowiedział Misza, bo oczywiście niczego nie rozumiał. – Ale po co panu czas?

Uwierzył przybyszowi od razu, chociaż problemy akumulacji czasu były dla niego czymś zupełnie nowym.

– Czas jest we wszechświecie największym skarbem, jego brak gubi całe cywilizacje. Jestem agentem zbierającym czas. To, co panu jest niepotrzebne, w innym miejscu kosztuje bająnskie sumy.

Mówiąc to przybysz wyciągnął z kieszeni srebrzysty kabelek, jeden jego koniec umocował w skarbonce, a drugi, z igłą na końcu, zbliżył do ręki Standala.

– Nic nie będzie bolało – powiedział. – Jak tylko pan dotknie końca przewodu, czas, który jest panu niepotrzebny, przemieści się do mojej skarbonki.

Upał wisiał nad miastem, autobus nie nadjeżdżał... Standal wyciągnął rękę. Co prawda powinien się liczyć z tym, że przybyszowi nie jest potrzebny czas, lecz – na przykład – krew Standala, ale prawdopodobieństwo czegoś takiego było bardzo nikłe: między przedstawicielami

wysoko rozwiniętych cywilizacji, którzy trafiali do Wielkiego Guslaru, jakoś do tej pory nie było wampira.

Standal poczuł lekkie ukłucie, a potem coś trzasnęło mu w głowie.

– Dziękuję! – powiedział przybysz. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Schował kabelek do kieszeni i wstał z ławki. Misza uprzejmie skłonił głowę i zobaczył, że cienie na ziemi wydłużyły się. Podniósł wzrok – kłębiaste obłoczki, które wisiały na niebie, gdzieś się rozpląnęły. Standal nie zdążył się nad tym głębiej zastanowić, bo z prawej strony pokazał się zakurzony, zmęczony autobus. Trzeba by podziękować przybyszowi, pomyślał Standal, ale gościa z galaktyki nie było już widać. Prawdopodobnie polował na innych wałkoniących się mieszkańców metropolii znad rzeki Guś. A może nie trzeba było nikomu dziękować, bo autobus po prostu przyjechał sam z siebie? A przybysz niczym nie różnił się od tych namolnych kosmitów, którzy coraz to wpadali do Wielkiego Guslaru ze swoimi notesami i magnetofonami, żeby prowadzić psychologiczne badania Ziemi.

Szurowca bardzo się ucieszyła, że Standal na nią czekał. Standal powiedział:

– Wybacz, że róże zwiędły! Strasznie gorąco!

– Drobiazg – odparła Szurowca. – Wstawię je do wody. Nie spóźnilibyśmy się, gdyby nie ta guma.

– Jaka guma?

– No, kicha! Straciliśmy godzinę. Albo i więcej.

Standal spojrział na zegarek: parę minut po czwartej. Nie jest co prawda wykluczone, że lekko się na ławeczce zdrzemnął, ale mimo to miał ogromną ochotę jeszcze raz spotkać się z przybyszem. Jeżeli mówił prawdę, to w Wielkim Guslarze trafił na złotą żyłę...

Wieczorem, odprowadziwszy Szurowcę z kina, Standal spotkał na ulicy Korneliusza Udałowa, szefa przedsiębiorstwa budowlanego. Korneliusz bardzo się spieszył.

– Misza! – powiedział. – Co będzie z naszymi sobotnimi rybkami?

– Do soboty jeszcze kawał czasu – odpowiedział Misza. – Pięć dni!

– Jeżeli nie mniej – zagadkowo powiedział Udałow i pognał dalej..

– Odprowadzę pana! – krzyknął Standal i popędził za Korneliuszem.

– Nie trzeba.

– Dlaczego?

– Spotkanie o charakterze osobistym! I wtedy Standal zapytał wprost:

– Oddaje pan czas przybyszowi z kosmosu?

– Co? – Udałow zatrzymał się. – Wiesz o tym?

– Sam oddawałem.

– To idziemy!

Szli szybko, a Korneliusz opowiadał:

– Byłem w sklepie, kupowałem żyłkę. Byli też Łóżkin i Grubin. Ten przybysz słuchał, o czym mówimy, a potem podszedł do mnie i zapytał: „Ciężko, Korneliuszu Iwanowiczu?” „Co ciężko?” „Czekać ciężko. Do soboty pięć dni. Całe pięć dni do tej słodkiej chwili, kiedy będzie można popluć na robaczka, zamachnąć się szeroko i zatopić haczyk w srebrzystej toni jeziora Kopenhagen”. Jasna sprawa, człowiek człowieka zrozumiał! A on dalej: „Chciałbyś, Korneliuszu, żeby już jutro była ta słodka sobota?” „Dowcipniś!” – odpowiadam, a on mi na to: „Nie dowcipniś, nie dowcipniś! Przyjdź wieczorem do hotelu *Guś*, pokój numer trzy, i oddasz mi zbędny czas”. Myślę sobie: żartuje, trafiają się przecież kosmici z poczuciem humoru... Ale potem wracam do domu, na biurku bilans kwartalny, żona głowę suszy... Nie wytrzymałem, napisałem karteczkę...

– Jaką karteczkę? – przerwał Standal.

– Radził napisać. Napisz, mówi, karteczkę, że cię wysłali w delegacji. Żeby nikt nie pytał: a gdzie Udałow?

– Coś mi się ta kosmiczna dobroczynność nie podoba – powiedział Standal. Ale nie zdążył rozwinąć swojej myśli, bo stanęli przed hotelem i Korneliusz wszedł do środka.

A Standal został na ulicy, żeby poczekać i w spokoju kontynuować rozpoczęty proces myślenia.

Minęło jakieś piętnaście minut, kiedy nagle rozpoznał w świetle latarni jeszcze jedną znajomą twarz. Twarz należała do Serafimowa. Lekko opuchnięta buźka zdecydowanie znudziła się już całemu miastu, bo nigdy właściwie nie opuszczała eksponowanego miejsca na tablicy prezentującej zakały nadgusiowego grodu. Po tym jak Standal w pryncypialnym felietonie obnażył bezlitośnie to antyspołeczne indywiduum, Serafimow co prawda nie przestał zalewać swej powszechnie znanej twarzy, ale zapalał do Miszy głębokim szacunkiem, jako że dzięki niemu zyskał opinię pierwszego moczymordy w mieście.

Zobaczywszy Standala Serafimow szeroko się uśmiechnął, wyciągnął zza pazuchy wymięty wycinek z gazety i pomachał nim w charakterze powitania.

– Pamiętam! – wykrzyknął! – Podczytuję sobie. Aleś mi kota popędził!

– A pan dokąd? – zapytał surowo Misza, który w głębi swego jestestwa poczuł się odpowiedzialny za losy stworzonego przez siebie antybohatera.

– Jest tu jeden dobry człowiek – poinformował Serafimow. – Pomoże mi!

– W czym pomoże?

– Pokój numer trzy. Zbiera zbędny czas.

– A panu co do tego?

– Do wypłaty ile? Sześć dni! A z poprzedniej ile pieniążków zostało, co?

I udzielając sam sobie odpowiedzi Serafimow pogmerał ręką w kieszeni, skąd doniósł się żalony brzęk nielicznych znajdujących się tam jeszcze monet.

- Co on panu obiecał?
- Zaśniesz, uważasz, powiada, a zbudzisz się i już wypłata!
- A do wypłaty kto będzie za pana pracował?
- Jaka praca! – westchnął Serafimow. – Czysta resocjalizacja.

I z tymi słowami na ustach zniknął w drzwiach hotelu.

Przez następne pół godziny wchodzili w te drzwi różni ludzie. Niektórzy wracali, niektórzy nie. Wybiła godzina jedenasta, a Udałowa jak nie było, tak nie było. Standal zdecydowanie przekroczył próg i zastukał do pokoju numer trzy.

– Proszę wejść! – usłyszał.

Pokój był nieduży. Łóżko przykryte różowym kocykiem w wiewiórki, stół, na nim karafka i dwie szklanki. Obok karafki leżała skarbonka.

- Ile pan oddaje? – zapytał przybysz z miejsca, nie poznawszy Standalą.
- Nic nie oddaję – odpowiedział Standal. – Chciałbym porozmawiać.
- Dobra! Tylko krótko! Ciężki dzień. Chcę się położyć. Jutro będzie jeszcze gorzej.
- Dużo pan zebrał?
- Dzisiaj więcej niż wczoraj – mętnie zeznał kosmita. – Ruszyła lawina.
- A gdzie Udałow?
- Niech go pan szuka w sobotę. Spieszył się na ryby.
- Nie w tym rzecz. Gdzie jest teraz?
- Nie mam pojęcia. Jestem agentem handlowym, szczegóły techniczne mnie nie interesują.

Do soboty go nie ma, nigdzie go nie ma.

– A Serafimow?

– Pojawi się w dzień wypłaty. Reszta się też w swoim czasie znajdzie. A tak w ogóle to mój dzień pracy się skończył, ale mogę wziąć od pana po znajomości czas do szóstej wieczór jutro.

– Po co? – nie rozumiał Standal.

– Szuroczka Rodionowa kończy pracę o szóstej – wykazał się przybysz znajomością realiów.

– Nie, dziękuję – powiedział Standal i pożegnał się.

Czuł się paskudnie. Był jakoś dziwnie rozdrażniony. Szczególnie brzydziło go to, że ruszyła lawina.

Następnego dnia Standal zrozumiał, że kosmita nie tracił ani chwili. Na ulicach było dużo mniej ludzi, autobus jechał prawie pusty, w redakcji gazety miejskiej, gdzie Standal pracował, też brakowało paru osób. Wieść o przybyśzu rozniosła się po całym Wielkim Guslarze. Standalowi stanęła przed oczami upiorna wizja opustoszałego miasta, którego ostatni Mohikanie tłoczą się w kolejce do pokoju numer trzy.

Należało coś zrobić.

Najlepiej byłoby rozbić tę piekielną skarbonką. Ale co będzie, jeżeli ludzie, którzy diabli

wiedzą gdzie spędzają swój oddany przybyszowi czas, nie wrócą na łona swych rodzin? Standal nie mógł się skupić: przeszkadzały mu ciągle dzwonki telefonu i wizyty żon, które zgubiły swych mężów, i mężów, którym gdzieś zapodziały się żony. Wszyscy ci nieszczęśnicy szturmowali drzwi redakcji, wierząc, że pomoc może im tylko prasa.

Szczególnie męczące były odwiedziny Kseni Udałowej, która nie wierzyła w przybysza, bo była święcie przekonana o tym, że jej ukochany Korneliusz udał się do Poćmy w ramiona mitycznej Rimmy.

Najpierw Standal tłumaczył, na czym cała sprawa polega, ale potem przestał, bo niektórzy z gości rzucali się błyskawicznie w stronę hotelu, żeby oddać przybyszowi swój czas i połączyć się z rodzinami.

Szuroczka czekała na Standala na skwerku. Serce mu zabiło.

– Miszeńka – powiedziała patrząc na niego błyszczącymi oczami. – Tak mi bez ciebie smutno...

– Mnie bez ciebie też – odpowiedział Standal.

– Zwolniłam się i od drugiej próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale ciągle było zajęte.

– Oblędny dzień – powiedział Standal. – Zaraz ci wszystko opowiem.

– Dobrze, że Milka opowiedziała mi o kosmicie – mówiła dalej Szura – który tu przyjechał zbierać zbędny czas.

– I co? – chłodno zapytał Standal.

– Poleciałam do niego, oddałam mu cztery godziny i jestem tutaj.

– To nie był zbędny czas! – wrzasnął na cały skwer Standal. – Nie ma zbędnego czasu! Okradziono cię!!!

– Ale za to od razu się spotkaliśmy...

– Stój tu! – zakomenderował Standal. – Stój i nigdzie się nie ruszaj!

Szuroczka posłusznie znieruchomiła.

Standal dobiegł do hotelu, rozepchnął kolejkę pragnących pozbyć się zbędnego czasu i wdarł się do pokoju przybysza właśnie wtedy, kiedy babcia Stiepankina, która – o czym Standal wiedział – czekała na wnuka mającego za pół roku wrócić z wojska, rozplywała się w powietrzu.

– A, to pan! – rozpoznał Standala przybysz. – Dawno się nie widzieliśmy. Zauważył pan, jak staruszka zniknęła? Sześć miesięcy z niej wyciągnąłem!

– Pan sobie zdaje sprawę, że zwyczajny z pana złodziej i łobuz? – zapytał złowieszczo Standal.

– Nieprawda! – oburzył się przybysz, przyciągając do siebie skarbonkę: widać miał wysoko rozwiniętą intuicję. – Robię to, o co mnie ludzie proszą. Wszyscy są żywi i zdrowi.

– Gdzie oni są?

– Nieważne. Jeżeli powiem panu, że przebywają w podprzestrzeni zwartej, to pan się

uspokoi?

– Nie! – twardo powiedział Standal. – My, ludzie, mamy pewną słabość: wydaje nam się, że życie składa się z oczekiwania. Kto nie ma na co czekać, ten do niczego nie dąży. I pan o tym doskonale wie!

– Wychodzę naprzeciw ludzkim pragnieniom. Czego się pan czepia? – Przybysz beczelnie się uśmiechał.

– Pan jest przestępcą. Złodziejem! – warknął Standal.

– A propos przestępców – powiedział kosmita. – Mam pewien projekt. Chodzi o więzienie. Tylko nie wiem, jak się tam dostać. Może jakieś skromne przestępstwo? Za co u was dają piętnaście dni? Tyle by mi wystarczyło.

– Trafić to pan tam może, ale... W każdym razie skarbonki panu wziąć ze sobą nie pozwolą.

– Myśli pan? W takim razie mam inny pomysł.

I wtedy Standal zrozumiał, że nie wolno dłużej czekać.

Rzucił się na skarbonkę jak tygrys i z całej siły rąbnął nią o podłogę. Mikroskopijne detale prysnęły na wszystkie strony, jakby skarbonka było wypełniona mrówkami.

– Proszę wybaczyć, nie miałem innego wyjścia.

– Ja się poskarżę! – krzyczał przybysz zbierając na kolanach resztki skarbonki. – Pan myśli, że separatory poniewierają się na ulicach?! Żaden warsztat mi tego nie przyjmie!

Standal wyszedł z pokoju. Naprzeciw szła Ksenia Udałowa i ciągnęła za rękę swego Maksymka. Na policzkach błyszczały jej ślady łez.

– Gdzie on?! – krzyknęła. – Nie mam siły czekać! Proszę nas puścić do ojca i męża!

– Proszę wracać do domu – poradził jej Misza Standal. – Myślę, że on już na panią czeka.

Spojrzał na zegar wiszący nad biurkiem recepcjonisty. Wahadło zegara zatrzymało się w wybitnie niewygodnej pozycji. Standal podniósł do ucha swój zegarek. Zegarek stał.

– No, no! – powiedział głośno. – Ale się tego nazbierało! Szuroczka posłusznie czekała na niego na skwerku.

– Stłukłem skarbonkę – oznajmił Standal.

– Wiem. Stąd tylu ludzi na ulicy. I zegarek mi stanął. To już tak na zawsze?

– Zaraz będzie po wszystkim.

– Wielu będzie niezadowolonych z tego, co zrobiłeś, Misza – powiedziała Szuroczka.

– Wiem – odparł Standal. – Ale nie mam śladu wyrzutów sumienia. Przecież mnie rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziała Szuroczka z pewnym smutkiem. – Ale tak trudno mi na ciebie czekać...

Akurat wtedy podszedł do nich ponury Serafimow.

– Te, artysta – jęknął. – Pożycz rubla do wypłaty!...